



Fot. — Zbilut Sęk

Prototypy Adamowa

Trudno było ją ominąć. Już z daleka widniały szczyty dźwigów, które sygnalizowały niezwykle ciekawość tutejszych. Nikt prócz kilku inżynierów, monterów niemieckich i przyszłej obsługi maszyny nie wyobrażał sobie jej ostatecznej postaci. Jak na Adamów przystało, wszystko tu prawie — system odwodnienia, transportu, organizacji, maszyny ludzie — było jednym wielkim prototypem i eksperymentem. Toteż i zwałowarkę miano tu ujrzyć po raz pierwszy.

Początkowo wyobrażenie o niej dawały fundamentalne gasienice, których jedno ogniwo śmiało mogło zastąpić stół rodzinny. Później, gdy już jej sylwetka wyrosła na kilka pieter, nasuwała porównanie do okrętowej wieży. Śmiali się nawet z monterów, że budują okręty na piasku. To było wiosną. A wkrótce potem, wbrew naturze, 37-metrowy kolos ruszył po specjalnie przygotowanej trasie na odległe o kilka kilometrów zwałowisko.

Dziwna to była droga 2245 tonowego olbrzyma. Gapili się więc ludziska, dając wdzięczne tło dla obiektywu kronikarza kopalni. On wiedział co robi, chwycił historię na gorąco: oto po szerokim trakcie, z szybkością wytrwałego piechura sunie z chrzęstem i kołobaniem to, co wkrótce zmieni oblicze tej ziemi. Gdy kroczyła niezdarne zwałowarka stanęła u końca szybkich taśmociągów, gdy ze swego pomostu sygnęła pierwszą grudą ziemi z dalekiej odkrywki, był to znak, że odąd już nieprzerwanie płynąć będzie szary strumień, aż do wyczerpania ostatniego metra sześciennego z 28 milionów — ziemi zdjętej z pierwszego węgla.

Przegapiłem ów moment. Ujrzałem ponownie maszynę dopiero na zwałowisku. Z 20-metrowej wysokości pomostu sypała skruszona calizna, tuż pod tepe nosy spychaczy. Pod sobą miała już 6-metrowy „fundament” przyszłej góry piaskowej, przed sobą zaś łaki, podmokłe wodą z zatrzymanego górą strumyka. Urzekła niezwykłość krajobrazu i kontrastów, urzekało — co tu kluczyć — piękno samej maszyny.

Poznałem ją jeszcze później. Gęsty deszcz i pora były nieodpowiednie do zawierania znajomości — gdzieś tam we wkopie odkrywki koparkom za daleko było do „jądła” i należało przesunąć je z taśmociągami bliżej. Zwałowarka zmęczona usypianiem 2 milionów metrów zie-

mi, mokła więc beczynnie opukiwana narzędziami konserwatorów. Obejrzałem ją sobie z bliska. Rozparta w głębokich koleinach gasienic, przy pomocy podawarki sięgała końca taśmociągu. Wysoko, pod deszczową chmurą widniał smukły pomost, za którym ziemia kończyła swój szaleńczy bieg 5,23 metra na sekundę. Prawdziwy wiszący most. Pozwala usypywać zwałowisko w 130-metrowym kręgu, całą górę, do 25 metrów wysokości. Talię wieży opłatały kręte schody i bariery pomostów. Co krok widać było krępe kadłuby silników elektrycznych, a jest ich tutaj 72. Żeby tylko silniki... Jest tu prawdziwa kuźnia, warsztat ślusarski i elektrotechniczny, a nawet szatnia z zimną i gorącą wodą!

Główny operator, Stanisław Król, brygadzysta 11-osobowej zmiany, ma miejsce w kabinie na wysokości prawie trzydziestu metrów. Widzi stąd dachy Turka i pola przyszłej odkrywki. Stąd widać najlepiej jak pełzający wał ziemny pochłania żarłocznie zielone pastwiska i zagajniki. Cofa się przed nim codziennie o kilkadziesiąt metrów stadko krów pilnowane przez gapiowatego pastuszka. Oto i nowy kontrast w krajobrazie tej ziemi.

Król jednym pociśnięciem guzika kieruje pracą i ruchem zwałowarki. Jest tu sam, przy pomocy telefonu porozumiewa się ze ślusarzami, elektrykami, smarownikami i taśmowymi, czuwającymi nad pulsem maszyny. Maszyny? To cały zespół maszyn jednej wielkiej fabryki ziemi. To cała inwestycja wartości 110 milionów złotych!

Ogromny ten majątek służący odkrywce tylko do sypania wykopa-

Fragment nowo opracowanego, piętego wydania „Wielkich dni małej floty”, które ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w ramach „Biblioteki Po-wszechniej”.

Po południu pierwszego dnia na wodach Zatoki Gdańskiej została stoczona wielka bitwa powietrzno-morska. A oto okoliczności, w jakich doszło do tej bitwy.

Około godziny 16.00 polskie okręty nawodne: „Wicher”, „Gryf”, grupa kanonierów i dywizjon minowców otrzymały sygnał „Rurka”. Po otworzeniu przez dowódców okrętów zalakowanych kopert, opatrzonych tym kryptonimem okazało się, że zawierają one rozkaz nakazujący tegoż dnia o godzinie 22.00 operacji postawienia zagrody minowej na SSO od Helu w odległości 12 mil morskich. W celu omówienia operacji odbyło się spotkanie wszystkich przeznaczonych do niej okrętów: sześć „ptaszków” stanęło w dryfie, burta przy burcie, w odległości 4 mil morskich od Oksywia, w ich pobliżu „Gryf”, o pół mili od niego grupa kanonierów, na redzie przed portem „Wicher” przy czym żaden z nich nie zakotwiczony. Ponieważ rozkaz wyznaczał Hel na bazę wyjściową do przeprowadzenia operacji „Rurka”, cały zespół skierował się w kierunku Helu. I teraz nastąpił kolejny, największy z dotychczasowych nalotów, skierowany

Jerzy Pertek

BITWA W ZATOCE GDAŃSKIEJ

głównie na stawiacza min „Gryf”. Było to około godziny 18.00 w odległości 3 mil morskich od Helu.

Scenerię tej bitwy przedstawił ppor. mar. Giertych, ówczesny oficer w oddziale kutrów kpt. mar. Jougana. Kutry tego oddziału szły właśnie z Oksywia do Pucka, na ostatnim kutrze zaokrętowany był Giertych i tak opisał marsz swego oddziału oraz spotkanie z „Gryfem” tuż przed niemieckim nalotem na polskie okręty:

Flotylla kutrów, posuwających się w kierunku Pucka, rozrzucona była przede mną szeroko po morzu. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widziałem przed sobą w oddali pękate kadłuby i krótkie maszty, tak do siebie podobne, że wyglądało to jak chmura jednakowych, pełzających po wodzie owadów.

Miało się ku wieczorowi. Wyniosłe urwiska Oksywiejskiej Kępy rzucały na morze wydłużone cienie.

Niespodziewanie spotkałem największy polski okręt wojenny — stawiacza min „Gryf”. [...] Oficerowie stojący na dziobie, przyjaźnie zamachali do mnie rękoma. Zasałutowałem im, z zaskoczona patrząc z mej nieuzbrojonej tupiny na ich groźnie szczerzącą paszczę dział sylwetkę i na ich dumnie powiewającą banderę. Ledwo się ukazali — i już znikli w oddali.

Popatrzyłem chwilę w ślad za nimi, a potem zwróciłem wzrok w przód — ku Zatoce Puckiej i ku szeroko rozrzuconej pośród flotylli kutrów, której byłem ostatnim ogniwem.

Gdy po dłuższej chwili znowu odwróciłem głowę w tył, w kierunku „Gryfa”, zobaczyłem, że naraz znalazł się on w towarzystwie kontrtorpedowca „Wicher” i sześciu trawlerów i że płynęli razem z nimi mniej więcej od cypla Helu ku Gdańskowi. [...]

Ledwo zwróciłem na płynący zespół okrętów wojennych uwagę — gdy nad zespołem tym pojawiły się kluczce samolotów niemieckich. W jednej chwili powietrze napętniło się gęstym bitewnym.

Zespół polskich okrętów szedł podzielony na dwie grupy: straż przednią tworzył „Wicher” z „Jaskółką”, centrum stanowił „Gryf” otoczony pięciu pozostałymi „ptaszkami”, z dwoma „tramwajami”, jak żartobliwie nazywano kanonierki, jako ubezpieczenie tylnie. Siły nieprzyjacielskie obejmowały kilkadziesiąt bombowców, atakujących kolejne w dwu grupach z lotu nurkowego. Poszczególne samoloty nadlatywały nad okręt wzięty za cel od dziobu lub rufy, zrzucały bomby, po czym siekły z broni maszynowej ustępując miejsca następny.

Celem zmniejszenia skuteczności nalotu zespół polski rozproszył się i zryżakami szedł w głąb Zatoki. Płynący w odległości około 1000 me-

trów od siebie „Wicher” i „Gryf” utworzyli przez skrzyżowanie ognia zaporę ogniową, wszystkie mniejsze okręty z pełnym poświęceniem broniły „Gryfa”; ogień całej tej małej floty uformował stożek „rozpięty” nad obu dużymi jednostkami. Bomby padały jednak coraz bliżej „Gryfa”.

Artyleria przeciwlotnicza tego największego polskiego okrętu całą siłą swego ognia odpierała nalot. Niestety, szybkość i zwrotność „Gryfa” były niewielkie i okręt nie był w stanie tak sprawnie czynić zwroty i unikać bomb, jak mogły to robić szybsze i łatwiej manewrujące okręty. I wreszcie nadszedł moment, kiedy wydawało się, że kolejny atak niemiecki przyniesie pełny sukces napastnikom, gdyż jeden z nurkujących samolotów rzucił bombę, od której eksplozji „Gryf” się zachybotał, a straszny huk wprost ogłuszył marynarzy. Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła i jęki rannych.

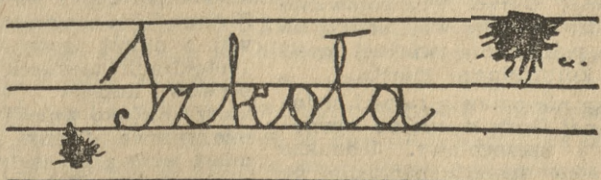
Była to straszna chwila dla załogi, gdyż okręt miał na torach pod pokładem ogromnie niebezpieczny ładunek w postaci 300 min, których detonacja mogłaby rozerwać „Gryfa” w strzępy. Szczęście dopisało jednak w nieszcześciu, gdyż bomba nie trafiła bezpośrednio w okręt, ale detonowała w wodzie tuż przy jego burcie. „Gryf” ocalał, powstały jednak na nim dotkliwe straty w ludziach i poważne uszkodzenia. Najgorsze było zacięcie steru i w końcowej fazie nalotu „Gryf” uchylił się od bomb jedynie manewrowaniem przy pomocy motorów. Unikając bezpośredniego trafienia, uniknął też niechybnej zguby. Większość ładunku min została w obawie przed dalszymi nalotami wyrzucona na powierzchnię od Helu za burtę.

Także „Wicher” nie wyszedł z tej wielkiej batalii powietrzno-morskiej bez uszkodzeń; bliskie upadki bomb spowodowały, niegroźne zresztą, przecieki kadłuba okrętu, a pomost pozbawiony został wszystkich iluminatorów. Dzięki jednak niebywałemu wprost opanowaniu i nadzwyczaj zimnej krwi dowódcy okrętu, komandora por. Stefana de Waldena, „Wicher” zdołał wymanewrować przed leżącymi na bombami i uniknąć trafienia.

Gorzej natomiast powiodło się niektórym „ptaszkom”, ostrzeliwanym zawzięcie przez samoloty z broni maszynowej, a zwłaszcza „Mewie”, płynącej przed „Gryfem” i szczególnie aktywnie uczestniczącej w bitwie. Ogromna 500-kilogramowa bomba wybuchła tuż przy prawej burcie okrętu, powodując straszne straty na pokładzie. Śmiertelnie ranny został oficer wachtowy, ppor. mar. Zbigniew Mielczarek, zginęło kilku-

Dokończenie na str. 2

Jadwiga Popowska



Pani Kazimierz Schneider

Często płacze w przedszkolu, samo nie wie czemu, Rodzice z troską myślą: co to będzie dalej? Krzyknie ktoś — dziecko blednie z przerażenia nieme. Ma wielkie, ciemne oczy jak dzieci Italii.

Siódmy rok... prawie era. Gdzież to lato zbiegło?! Niedawno z tatą w życie zbierało ostróżki, A dziś wyrósł przed dzieckiem gmach z czerwonej cegły.

W bramę szkolną wolniutko wchodzą małe nóżki.

Ktoś dostrzegł ciemne oczy, ogromne od lęku, Wśród dzieciaków szalonych, w krzyczącej gromadzie, Dłoń czyjaś bierze dziecko spłoszone za rękę, Obca pani do klasy to małe prowadzi.

Jeden ruch, jeden uśmiech — niby nic, a — wiele. „Pani” nie jest już obca, a głosik wesoły Dzwoni wkoło radośnie: ja nie chcę niedzieli, Ja co dzień, co dzień, co dzień chcę chodzić do szkoły.

Michał Luczak

Problem „W”

Jedni lekarze twierdzą, że „Akacja W” trwa nadal, inni że się skończyła. Nie warto kręcić kopii o to, kto ma rację. Faktem jest, że niektóre elementy tego przedsięwzięcia (bezpłatne leczenie wszystkich chorych wenerycznie, zachowanie w tajemnicy nazwisk chorych) są aktualne i dzisiaj, ale inne przeszły już do historii. Na przykład nie przeprowadza się obecnie tak masowych badań jak niegdyś; słabsza jest również działalność propagandowo-uświadamiająca. W rezultacie — można tak chyba powiedzieć — notujemy wzrost zachorowań na kiłę i rzeżączkę.

W 1954 roku w całym kraju zachorowało na kiłę 2000 osób. W 1961 roku zanotowano natomiast około 5000 przypadków wczesnych postaci kiłowych.

Jeszcze kilka danych z własnego podwórka. Poznań: zachorowań na kiłę w 1959 roku — 159; w 1961 r. — 166; na rzeżączkę: w 1959 roku — 555, w 1960 roku — 610. Województwo poznańskie: w 1959 roku zachorowało na rzeżączkę 608 osób, a w ub. roku — 731. Szczególnie niepokoić musi obniżenie wieku chorych. W województwie poznańskim stosunek młodocianych chorych wenerycznie — do starszych wzrósł z 11 procent (1959 r.) do 16 procent (1961 rok).

Nieuchwytnie źródła

Tak się jakoś składa, że główne przyczyny szerzenia się chorób wenerycznych i wzrostu zachorowań na nie — stanowią łańcuch zjawisk moralno-obyczajowych. Pewien kryzys rodziny, osłabienie dyscypliny seksualnej, niewłaściwe uświadamienie, alkoholizm, wręcz prostitutacja — oto czynniki mające decydujący wpływ na ten stan rzeczy. Fakt, że chorzy to głównie córki Koryntu i ich „klienci”, a więc ludzie „trudni”, niezmiennie komplikuje leczenie.

Pacjenci, którzy zgłaszają się w poradniach skórno-wenerologicznych są rozpytywani w celu wykrycia źródeł zakażenia. Niestety, większość odpowiedzi jest kłamliwa. Stąd też wykrywalność tych źródeł waha się w granicach od 30—40 procent. Kiedy zaś uda się ustalić, że zaraziła prostytutka X — to wyłania się nowa trudność: jak przeprowadzić kurację? Ta ostatnia trwa dość długo, a przecież MO nie może każdorazowo doprowadzać chorego do poradni. Tym bardziej, że część prostytutek nie posiada stałego miejsca zamieszkania i jest właściwie nieuchwytna.

W tej materii konieczna wydaje się nowelizacja przepisów. Wprawdzie dekret z 1946 roku mówi o przymusowym leczeniu chorych wenerycznie, ale nie przewiduje takiego leczenia w zamkniętych oddziałach szpitalnych. Tymczasem

pozbawienie prostytutek, które nie chcą się leczyć, wolności na okres kuracji jest nieodzownym warunkiem skutecznego działania służby zdrowia.

Demobilizacja

Podczas „Akcji W” służba zdrowia była szczególnie uczulona na choroby weneryczne. Kiedy zanotowano spadek zachorowań, „znawcy” orzekli, że problem został rozwiązany. Nastąpiła jakby częściowa demobilizacja. Na przykład wiele pielęgniarek przeniesiono do innych pionów służby zdrowia. Został rozwiązany Instytut Skórno-Wenerologiczny. Niestety, bo przecież bardzo potrzebna jest placówka szukająca od strony naukowo-lekarskiej i organizacyjnej nowych metod walki z chorobami wenerycznymi.

Przykładem świadczącym o karygodnej bez trosce, o lekceważeniu groźby chorób wenerycznych potraktował nas Wągrowiec. W mieście tym poradnię skórno-wenerologiczną zlokalizowano w... Stacji Pogotowia Ratunkowego. Nikomu jakoś nie przyszło na myśl, że w tak bardzo często odwiedzanej przez ludzi placówce, jaką stanowi Pogotowie — nie ma warunków odpowiednich do przyjmowania chorych wenerycznie. Wiadomo przecież, że kiła i rzeżączka, to choroby wstydlive.

Na truizm zakrawa twierdzenie, że obecna sytuacja wymaga pełnej mobilizacji służby zdrowia. Trzeba zastanowić się nad bodźcami zachęcającymi personel służby zdrowia do pracy w wenerologii. Warto rozszerzyć zasięg masowych badań (obecnie objęci są nimi przede wszystkim pracownicy pionu spożywczo-gastronomicznego) i nasilić szerzenie oświaty sanitarnej.

Igranie z ogniem

Podczas „Akcji W” w zbyt różnych kolorach przedstawiano łatwość i skuteczność akcji. Zresztą od tych czasów sytuacja zmieniła się dość znacznie. Działanie penicyliny stało się mniej efektywne (wskutek oporności bakterii na ten lek). Obecnie leczenie chorób wenerycznych oparte jest na podawaniu antybiotyków w dużych dawkach. Dziesięciokrotnie wyższych niż niegdyś! Sama kuracja jest raczej długotrwała, przy czym chory na kiłę musi podlegać 5-letniej kontroli.

Nie ma więc jakichkolwiek podstaw do lekceważenia chorób wenerycznych. Im prędzej pacjent zgłosi się do poradni, tym dla niego lepiej (kuracja trwa krócej). Nieleczona lub źle leczona kiła w późnych stadiach swego rozwoju prowadzi natomiast do ciężkich schorzeń głównie serca i układu nerwowego. Niezmiennie groźne są choroby weneryczne dla potomstwa. Matka zarażona kiłą, rodzi dziecko z kiłą wrodzoną, a więc upośledzone. To już i tragedia rodzinna i społeczna.

Taka jest prawda. Trzeba spowolnić, by prysł groźny mit głoszący, że choroby weneryczne to dzisiaj nie specjalnie groźne.

Zrozumiała jest niechęć młodej inteligencji do osiedlania się na prowincji. Bo cóż zyskuje ona na tej zamianie! Czasem znosi niejsze warunki materialne i mieszkaniowe kosztem utraty własnej indywidualności i rezygnacji z intensywnego życia. Praca jest tylko częścią naszej codziennej aktywności. Pozostaje jeszcze czas wolny przeznaczony na odpoczynek i od jego wykorzystania zależy nie tylko rytm i jakość wykonywanej pracy zawodowej, ale nasz ogólny rozwój intelektualny.

Co robić z wolnym czasem w środowisku, gdzie jedyną rozrywką kulturalną jest kino, a jedynym miejscem spotkań towarzyskich knajpa?

Pozostaje lektura i różnego rodzaju hobby, jak: wędkarstwo, zbieranie, majsterkowanie i inne. Żyjemy jednak z określonymi ludźmi, a od zainteresowań i ogólnego poziomu otoczenia zależy również nasz styl życia, nasze obyczaje i... sposób, w jaki spędzamy wolny czas.

Spróbujmy nie pić tam, gdzie war tość człowieka mierzy się ilością wypitego alkoholu! W dużym mieście możemy sobie dobrać grono przyjaciół, odpowiadających nam zainteresowaniami i nieodzownymi w życiu idealami. To właśnie z nimi rozmawiamy o przeczytanych ostatnio książkach, oglądanych spektaklach i filmach, poruszamy problemy żywo nas obchodzące. Na prowincji, gdzie przeżawia życiowy minimalizm, mamy do wyboru podporządkowanie się intelektualnej martwocie albo izolację i samotność — w praktyce niemożliwe dla człowieka młodego, łaknącego towarzystwa. W krótkim też czasie młodzież ta, intelektualnie zaangażowana w okresie studiów ratuje się ucieczką, względnie podporządkowuje przyjemu w danym środowisku modelowi egzystencji.

Rzecz jasna, prowincja prowincji nierówna. Są uroczyste oazy, aktywne dzięki działalności miejscowych ludźmi, są miasteczka, gdzie wodę zastąpiła kawa i kieliszek wina, wypijane w klubach książki i prasy. TPP-R czy Związku Nauczycielstwa Polskiego. I co ciekawe! Z chwilą otwarcia takiego klubu czy kawiarenki odnajdują się w nich „ludzie dobrej woli”, zaczynając skromnie od czytania prasy i kameralnych rozmów, a kończąc na spotkaniach z dziennikarzami, artystami i nierzadko na koncertach chociażby z muzyką mechaniczną. Te kawiarnie-kluby z pewnością nie zastąpią teatru i sali koncertowej. Są jednak miejscem, gdzie schodzą się i powoli organizują ludzie z inicjatywą, mający niejako we krwi potrzebę ciągłego działania i rozwoju. I może to brzmi paradoksalnie, ale uważam kawiarnie-kluby za stokroć ważniejsze od powiatowych i gminnych do-

mów kultury, w których na codzień nic się ważnego nie dzieje.

Refleksje powyższe znów mnie nawiedziły w czasie ostatniego pobytu z poznańską grupą studencką „Pro Musica” w Trzcińsku Zdroju. Wystało nas tam Zrzeszenie Studentów Polskich w ramach akcji „Studen ci ziemiom zachodnim”. Całe szczęście, że miejscowy kierownik szkoły podstawowej, ob. Zbigniew Przecławski przypomniał w niejednym nowocześniejszym już Judyma. Dzięki jego pomocy udało się zorganizować szereg przyjemnych spotkań przy muzyce i poezji ze społeczeństwem Trzcińska, Dębna, Chojny i Stołecznej. Gorzej było dogadać się z miejscową inteligencją. W Trzcińsku propozycja spędzenia wieczoru przy pół czarnej i muzyce nie wywołała żadnego oddźwięku. Przyszyczała do knajpy i tak zwanych „ubawów” z tańcem, odpowiedział na postępowanie społeczeństwa uważała za stratę czasu słuchanie Czajkowskiego i Chopina.

Odwrotnie niż chłopcy z PGR w Stołecznej. Było ich na wieczorze „Pro Musica” dwustu i chyba nie tylko dlatego, że PGR posiada piękny, nowoczesny urządzonego klub z niezwykle aktywnym i „na poziomie” kierownikiem. Ludzie proszą zachować na ogół świeżość bezpośredniej reakcji — czego nie można powiedzieć o szybko rezygnującej i często „zblazowanej” psychicznie inteligencji.

Fakt, że Trzcińsko nie ma klubów kawiarni, na którą miejscowa „śmietanka” z sekretarzem MRN właśnie zamieniliby może knajpę, nie wydaje się jedyną przyczyną totalnego marazmu intelektualnego. Mimo posiadania dużej sali i sceny w Domu Ludowym, Trzcińsko nie oglądało po wojnie z prawdziwego zdarzenia teatru, nie słuchało orkiestry symfonicznej i dobrego zespołu estradowego.

Publiczność jest znakomitą, życzliwą, wrażliwą i głodną muzyki i słowa mówionego. Na przykład balladę Loreley Apollinaire’a trzeba było na wieczorze „Pro Musica” bisować.

A swoją drogą to skandal, by wciąż jeszcze nasze życie kulturalne ograniczało się prawie wyłącznie do dużych ośrodków! Nadszedł chyba czas, by zespoły na poziomie artystycznym zaczęły regularnie wizytować teren. Rokrocznie jesteśmy świadkami pustek na salach teatralnych i koncertach w miesiącach letnich. Jeśli już trzeba wykonać plan i tylko dlatego nasz sezon artystyczny trwa przez rok cały, przerzucmy w czerwcu, sierpniu i wrześniu teatru i zespoły muzyczne na ziemie, gdzie kultura leży odłogiem. Zatrószmy się wreszcie o wypełnienie człowiekowi pracy jego wolnego czasu wartościami, bez których życie ludzkie zatracą sens!

Norbert Karaśkiewicz

Gdy życie zatracą swój sens

Bitwa w Zatoce

(Dokończenie ze str. 1)

nastu podoficerów i marynarzy znajdujących się na pokładzie (obsługa działa i km-ów, sternicy i sygnaliści), a dowódca kpt. mar. Wacław Lipkowski i jego zastępca zostali ranni (ten ostatni, ppor. mar. Janusz Sokołowski, ciężko). Zygakowatym kursem, nadając wciąż sygnał alarmowy syreną, okręt dowodzony przez leżącego na pokładzie kpt. Lipkowskiego, a prowadzony przez maszynistów, kierował się na Hel, dokąd przyholowany został ostatecznie przez bliźniaczą „Rybitwę”. Według opowiadania dowódcy dywizjonu, podówczas komandora-podporucznika Boczkowskiego, widok pokładu był niesamowity, między torami minowymi krew wprost „stała”, na pokładzie nie było jednego nie zranionego człowieka.

Inny naoczny świadek, por. mar. Jerzy Żytowiecki, tak opisuje wygląd okrętu:

Wprowadzona do portu „Mewa” przedstawia okropny widok: cały okręt zalan jest krwią, szczątki ludzkie i rozbity sprzęt walają się po pokładzie, wielu rannych używa pomocy. Okręt z nastającym zmrokiem wygląda jak widmo upiorne.

Jeden z kolegów wiegna na pomost. Na skrzydle pomostu siedzi skulona postać rannego por. mar. Mielczarka.

— Zbyszku, czy ciężko jesteś ranny?

Podnosi się głowa rannego, z szarych oczu bije blask, a twarz zwykle pomruge Zbyszka opromienia uduchowiony uśmiech.

— Nic mi nie jest — szepcą usta — a jednak „Gryfa” nie daliśmy szkopom — padają ostatnie słowa konającego.

W pół godziny później umiera por. mar. Mielczarek w szpitalu, związany miłością ze swym okrętem na życie i śmierć.

Według relacji st. bosmana Kłusowskiego nie lepiej wyglądało na „Gryfie” po zakończeniu ataku:

Na pokładzie widać pełno krwi. Idąc dalej, ujrzałem przerażający widok. Przy pierwszym działie na dziobie trzyma się kurczowo lewą ręką jakiś marynarz — stoi... bez głowy. W korytarzu pełno krwi. W pomieszczeniu jest już prawie po kostki, na łóżkach leżą ciężko ranni, leżą ranni siedzą. Ranni podają swoje adresy kolegom, proszą, aby w przypadku śmierci zawiadomili rodzinę. Dokucza odór skrzepłej krwi. Na jednym łóżku leży sygnalista z rezerwy. Wnętrza trzyma w prześcieradle. Prosi o zawiadomienie rodziny.

Dowódca został trafiony w pierwszy atak. Znoszą go trzem. Ma odciętą nogę, nastąpił poważny wpływ krwi. O ratunku nie ma mowy. Na okrętowej izbie chorych ciężko ranni dogorywają, służba zdrowia dokonuje pierwszych zabiegów,

na dokładne zabiegi nie ma warunków i czasu. Zakładam opatrunków i idę na stanowisko.

Okręt cały posiekany odłamkami i pociskami z broni pokładowej. Nastąpiła awaria steru. Sieć łączności i elektryczna uszkodzona. Idziemy w stronę portu Hel. Pada rozkaz: „Zbiórka wolnej załogi na rufie”, a następnie: „miny wszystkie zatopić”. Rozkaz wykonano szybko.

Po wyładowaniu i zatopieniu min weszliśmy do portu wojennego Hel. Wchodząc okręty, w tym również ORP „Gryf” złożyły na molo zabitych. Ciężko rannych sanitarki przewożą do szpitala, leżą ranni idą piechotą. Uzbrojenie ORP „Gryf” jest jeszcze w dobrym stanie, okręt dobił więc do mola i od strony lądu tworzy baterie obrony Helu. Na okręcie została tylko obsługa uzbrojenia przeciwlotniczego, reszta załogi lokuje się na lądzie niedaleko okrętu.

Ogółem na „Gryfie” stracił wyniosły dwudziestu jeden ludzi, z czego pięciu zabitych, w tym dowódca, kmdr ppor. Stefan Kwiatkowski. Pozostałe okręty („Płaszki” i obie kanonierki) wyszły z nalotów bardziej obronną ręką. Wieczorem tegoż dnia Dowódca Floty wyznaczył dywizjonowi na bazę port w Jastarni, dokąd — wobec odwołania operacji „Rurka” — udały się okręty dyonu, tocząc po drodze potyczkę z niemieckimi wodnosamolotami, z których jeden ogniem karabinów maszynowych w locie koszący spowodował ofiarę na „Czajce”.

„Gryf”, którego zastępca dowódcy (kpt. mar. Wiktor Łomidze) miał wyrzucić po bitwie nadzieję, że uda się usunąć uszkodzenia i wziąć udział w ustalonej na 22.00 operacji minowania, pozostał jednak w porcie wobec odwołania operacji „Rurka”.

Tymczasem „Wicher”, jeszcze przed wejściem „Gryfa” do doku, nie zachodząc na Hel, wziął kurs na wyznaczoną w rozkazie operacyjnym pozycję wyjściową (10 mil na zachód od wyjścia z Piławy), gdzie znalazł się nieco przed czasem. Dziwnym, do dziś nie wyjaśnionym zbiegiem okoliczności, rozkaz o odwołaniu operacji „Rurka” nie został „Wichrowi” przekazany, i okręt krążył przed Piławą w przekonaniu, że ubezpiecza operację stawiania min. W tych okolicznościach „Wicher” napotkał nieprzyjacielskie okręty i miał doskonałą okazję stordowania napotkanego niemieckiego krążownika typu „Leipzig”. Dowódca „Wichra” czuł się jednak związany otrzymanym w planie „Rurka” rozkazem nie zdradzania swej obecności, by nie narazić na szwank grupy okrętów minujących Zatokę (o których pozostaniu na Helu kmdr de Walden nie wiedział), i w taki sposób ta niebywała okazja zniszczenia nieprzyjacielskiego krążownika nie została wykorzystana.

JERZY PERTEK

Zielona Góra na nowo odkryta

W tytule nie ma żadnej przesady. Ukazało się bowiem właśnie na rynku księgarskim dzieło, którego znaczenie jest wielkie, nie tylko dla polskiej kultury; w nieustającej polemice z rewizjonizmem zachodniemieckim, z tendencyjnymi publikacjami tamtejszych historyków będzie ono ważkim argumentem na naszą korzyść.

Pierwsza polska monografia Zielonej Góry*) jest pracą zbiorową, zredagowaną pod naukowym kierownictwem dwóch znanych polskańskich naukowców, profesorów Michała Sczanieckiego i Jana Wąsickiego. Poszczególne części książki opracowali autorzy miejscowi, członkowie Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego w Zielonej Górze. Przygotowanie monografii stało się więc okazją do dalszego pobudzenia twórczej myśli i życia kulturalnego miasta.

Książka nie omawia całości historii Zielonej Góry w sposób równomierny i szczegółowy. Jednakże takie ujęcie tematu narzuca po prostu — jak stwierdzają autorzy wstępu — konieczność dziejowa. Materiały źródłowe w większości zaginęły w zawieruchach wojen-

nych, ich opracowanie znaleźć można w niejednym dziele historyków niemieckich, do których zawsze sięgnąć może bardziej zainteresowany czytelnik. Przeto skorzystano z tych opracowań jedynie o tyle, o ile było to niezbędne dla pokazania głównych nurtów rozwojowych i najważniejszych wydarzeń historycznych na przestrzeni całej historii miasta. Główna uwaga autorów natomiast skupiła się na nowych polskich badaniach dziejów Zielonej Góry, przy czym powiedzmy od razu, że badania te pokazują szereg problemów w zgoła innym świetle niż to usiłowali przedstawić historycy niemieccy.

Jednym z fundamentalnych twierdzeń tych ostatnich, jest teza, iż miasta polskie, a wśród nich także Zielona Góra zawdzięczają swój rozwój, a nawet początek, tak zwanej „kolonizacji” niemieckiej, a więc napływowi kupców i rzemieślników, którzy niejako wnieśli na nasze ziemie gotowe formy organizacyjne miast wraz z ich instytucjami i organizacjami. Monografia obala to twierdzenie przynosząc dowody, że polskie miasta rozwijały się pomyślnie już przed okresem „kolonizacji”, i że bez niej także mogłyby dalej świetnie rosnąć.

Inną niezmiernie ważną kwestią, bogatą w monografię argumentowaną i opartą na źródłowych materiałach, jest sprawa repolonizacji Zielonej Góry, która rozpoczęła się

już w końcu XIX wieku w związku z masową ucieczką ludności niemieckiej na zachód i zajmowaniem opuszczonych przez nią miejsc przez Polaków. Proces ten został zakończony po II wojnie światowej w wyniku niemieckiej klęski. Szczególnie w latach tuż przed ostatnią wojną Ziemia Zachodnie wraz z Zieloną Górą przedstawiała obraz zaniedbania i zastoju we wszystkich dziedzinach życia i Niemcy nie znajdowali na to rady. Tym bardziej wyraziście odbija od tego stanu dzień dzisiejszy miasta. Dobrze się więc stało, że życiu miasta w Polsce Ludowej autorzy poświęcili bez mała połowę monografii.

Poszczególne rozdziały opracowali Stanisław Zajchowska — Środowisko geograficzne, Wiesław Posadzy — Początki miasta i jego rozwój przestrzenny, Władysław Korcz i Witold Maisel — Zarys dziejów miasta od XIV do połowy XX wieku (dzieje polityczne i społeczno-gospodarcze), Klemens Felchnerowski — Zabytki zielonogórskie, Adam Markusfeld — Początki władzy ludowej, Andrzej Netzel — Rozwój miasta w Polsce Ludowej i Andrzej Czarowski — Życie kulturalne.

Wydawnictwu należą się słowa uznania za piękne opracowanie edytorskie (świetny papier, trwała drukarna oprawa) i za stosunkowo duży przy tego typu pracy nakład (5 tysięcy egzemplarzy).

M. S.

*) Zielona Góra, Przesłość i Terazniejszość. Praca zbiorowa pod redakcją Michała Sczanieckiego i Jana Wąsickiego. Poznań 1962. Wydawnictwo Poznańskie.

Sprawy poznańskiej nauki

Prof. dr Władysław Węgorek

Rektor Wyższej Szkoły Rolniczej
w Poznaniu

Współpraca i koordynacja wielce pożądane

W „Głosie Tygodnia” z dnia 12. VIII. 1962 roku ukazał się artykuł red. M. Skąpskiego pt. „Koordinacja? — Tak!”. Po- nieważ dotyczy on spraw nauki poznańskiej, pozwalam sobie na zabranie w tej sprawie głosu.

Przed wszystkim pragnę wyrazić wielkie zadowolenie, że sprawa na- wiazania ściślejszego i zorganizowa- nego kontaktu między placówkami naukowymi, a władzami miejskimi i wojewódzkimi znalazła się na łamach prasy. Fakt ten pozwala mieć nadzieję, że sprawa jest ważna i że wkrótce powstanie organ pozwalający na, zacieśnienie wzajemnych kontaktów i na jednolitą linię dzia- łania.

Potrzeba koordynacji i współpracy ma dwie strony; po pierwsze chodzi o stały kontakt między ośrod- kami naukowymi zlokalizowanymi na terenie Poznania, po wtóre o sta-łą współpracę tych ośrodków z wła- dzami miejskimi i wojewódzkimi.

Jeśli chodzi o pierwszą część za- gadnienia, to jest ona chyba dla pracowników nauki prosta i jasna. Poznań jest jednym z silniejszych ośrodków naukowych w kraju i po- siada liczne placówki naukowe pod- ległe różnym resortom i Akademii Nauk. Jestem przekonany, że więk- szość pracowników naukowych za- trudnionych w Poznaniu nie potrafi wymienić nazwy i przynależności wszystkich ośrodków naukowych działających w mieście. Nie mówię już o znajomości problematyki na- ukowej i możliwościach współpracy. Kontakty jakie istnieją, opierają się na osobistych znajomościach i na- wiazują się raczej przypadkowo. Ten stan rzeczy jest szkodliwy zarówno dla samych pracowników jak i dla placówek. Ileż kłopotów z aparatu- rą, sprzętem laboratoryjnym czy bi- bliografią można rozwiązać dzięki bliższemu wzajemnym kontaktom, jak bardzo można ułatwić sobie pracę, poszerzyć ją i pogłębić dzięki dys- kusjom w szerszym gronie i współ- pracy z kolegami, innymi ośrodkami. Poziom naszych placówek nauko- wych nie jest wyrównany ani pod względem wyposażenia, ani pod względem kadry i dlatego ściślejsza współpraca jest tym bardziej po- trzebna.

Szczególnie na odcinku wyposa- żenia w nowoczesną aparaturę od- czuwamy wszyscy poważne braki. Nowoczesna nauka wymaga bardzo specyficznej i drogiej aparatury. Za- bezpieczenie jej napotyka często na wielkie trudności i najczęściej sta- rania o nią kończą się fiaskiem. Są- dzę jednak, że w pewnych wypad- kach można myśleć o „Ośrodkowych Laboratoriach” tworzonych przy po- szczególnych uczelniach czy instytu- tach na użytek wszystkich zaintere- sowanych naukowców z terenu Po- znania. Nie jest do pomysłowania, by można utworzyć wszędzie tam, gdzie zachodzi tego potrzeba, laboratoria i pracownie z fitotronami, najnowsza aparaturę elektroniczną, „mózgami elektronicznymi”, mikroskopami elek- tronowymi itp. Ale na pewno są ta- kie pracownie potrzebne w Pozna- niu. Jestem przekonany, że wspólne wystąpienie kierownictwa całego ośrodka naukowego do władz cen- tralnych o budowę czy wyposażenie takich specjalnych pracowni na u-żytek wszystkich tutejszych placó- wek, ma duże szanse powodzenia. W tworzeniu takich ośrodkowych la- boratoriów kryją się bowiem wszel- kie korzyści w postaci oszczędności wydatków, a przede wszystkim w powstawaniu zespołów naukowych, współdziałających ze sobą.

Różne placówki naukowe dzia- łające w Poznaniu podlegają bardzo

różnym ośrodkom dyspozycyjnym, zlokalizowanym poza Poznaniem. Bardzo jednak wiele spraw wyma- ga stałego i ściślej kontaktu z wła- dzami miejscowymi. I tu przede do drugiego aspektu omawianego za- gadnienia, to jest kontaktu i wzaj- nej współpracy ośrodków nau- kowych z władzami miejskimi i wo- jewódzkimi.

Każdy z kolegów kierujących ta- ką czy inną instytucją naukową w Poznaniu, wie jak często życiowe sprawy podległej mu placówki za- leżą od spraw, których załatwienie wymaga zrozumienia i dobrej woli władz miejscowych. I w takich wy- padkach najczęściej nie można li- czyć na żadną interwencję z War- szawy. Można takie sytuacje lapi- darnie skwitować powiedzeniem: „Czego nie załatwisz na miejscu, te- go ci Warszawa nie da”. Ta prosta prawda zmusza do częstych kontak- tów i starań u władz miejscowych. Czasem powiedzie się lepiej, czasem gorzej; czasem zostanie sprawa mniej ważna i pilna załatwiona, a ważniejsza upadnie; jeden potrafi umiejętniej i lepiej przekonywać o swych potrzebach, inny tej umiejęt- ności nie ma. Tworzy się czasem konkurencja wychodząca na szkodę tej czy innej placówki. O ileż słusz- niejsze i prawidłowsze jest działanie wspólne, uzgodnione między sobą.

Miasto i województwo są ze swej strony żywo zainteresowane istnie- niem i rozwojem placówek nauko- wych na swoim terenie. Przecież Po- znań nie byłby tym czym jest, gdy- by nie te setki samodzielnych i po- mocniczych pracowników nauki, ty- siące studentów, zjazdy naukowe i konferencje.

Wielka ilość problemów nauko- wych regionu i miasta wymaga o- pracowań naukowych i władze słusz- nie liczą na ich podejmowanie przez miejscowy świat nauki. Nasuwa się w związku z tym konieczność współ- nych spotkań i dyskusji.

Kto ma zainicjować działalność ta- kiego szerokiego kolegium? Słusznie moim zdaniem sugeruje red. Skąpski, by organizatorem pierwszego posie- dzenia był Wydział Nauki i Oświaty KW PZPR. O ile chodzi o skład, to w pierwszym posiedzeniu winni wziąć udział kierownicy wszystkich ważniejszych ośrodków naukowych działających w Poznaniu, przedsta- wiciele miasta i województwa. Z dyskusji wyłonią się z pewnością ra- my i formy kolegium oraz profil je- go działalności.

Przekonany jestem, że korzyści z powołania do życia tego organu będą wielostronne.

Drukowane na tej stronie wypowiedzi rektorów Akademii Medycznej, Wyższej Szkoły Rolniczej oraz dyrektora Insty- tutu Balneoklimatycznego cechuje jeden wspólny rys — po- parcie dla idei koordynacji nauki w poznańskim środowisku. Choć każdy z wypowiadających się widzi inne aspekty tego problemu, inne dziedziny wymagające koordynacji, ten rys jest im wszystkim wspólny. Znajdujemy go także w liście od rektora UAM, prof. dr. Alfonsa Klafkowskiego, który wprawdzie powstrzymał się od zasadniczej wypowiedzi, gdyż w dniu 31 sierpnia ukończył kadencję, niemniej jednak uznał za wskazane stwierdzić, że ocenia nasz artykuł na te- mat koordynacji nauki „jak najbardziej pozytywnie”.

Z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie koordynacji nauki zwróciliśmy się do kierowników wszystkich większych pla- cówek naukowych w Poznaniu: rektorów szkół wyższych i dyrektorów instytutów naukowych. Nie wątpimy, że otrzy- mamy następne wypowiedzi, które odkryją nowe aspekty te- go niezmiernie ważnego problemu, być może także pokażą praktyczne środki realizacji wysuniętych propozycji. Już dziś jednak wolno wysunąć wstępny wniosek: potrzeba ko- ordynacji poczynić naukowych w Poznaniu narastała latami i zdaje się dojrzywać do punktu zmuszającego niejako zainte- resowanych do znalezienia racjonalnego rozwiązania.

Oczekujemy, że dyskusja rozpoczęta na naszych łamach pomoże w tych poszukiwaniach. Liczymy, że wypowiedzą się w niej wszyscy, którzy mają na ten temat coś do dodania.

Redakcja

Podobno Newton sformuło- wał swoje prawo ciążenia w sady, obserwując spa- dające jabłko. Małżeństwo Curie dokonał genialnych odkryć w drewnianej szo- pie. Czy znaczy to jednak, że tak wygląda historia nauki w ogóle? Nie zaprzeczając dużej roli przypadku w rozwoju nauki wiemy, że o postę- pie jej decyduje przede wszystkim żmudna, zorganizowana, mro- wicza praca. Nie sposób sobie dzisiaj wy- obrazić pracy naukowej bez dobrze rozbudowanego zaplecza laborato- ryjnego i doświadczalnego pełnego coraz to bardziej skomplikowanej a- paratury badawczej. Postępująca zaś z roku na rok specjalizacja wymaga nie tylko coraz to bardziej precyzyj- nego wyposażenia, ale również i ka- dry naukowej, przygotowanej do wykonania nieraz bardzo wąskiego zakresu badań. W takich warunkach pracy naukowej trudno sobie dzisiaj wyobrazić, aby jakiś jeden zakład naukowy, choćby dobrze wyposażo- ny, mógł wykonać większe zadanie naukowe. Dla wykonania badań, ro- kujących jakieś poważniejsze wyni- ki, niezbędna dzisiaj jest współpraca nie tylko kilku pracowników, ale nie- jednokrotnie nieraz wielu instytutów badawczych. Rozumiejąc to należało- by jak najwcześniej zadbać o zespo- lenie prac naukowych takiego środo- wiska, jak Poznań w jakimś jednym regionalnym planie naukowym, dla rozwiązania którego konieczna była- by współpraca pracowni wszystkich

Prof. dr Olech Szczepski

Rektor Akademii Medycznej

Decyduje zorganizowana praca

wyższych uczelni i instytutów pra- cujących na tym terenie.

Już ten jeden aspekt naukowy sta- nowi dostateczną podstawę, aby w odpowiedzi na artykuł M. Skąpskie- go odpowiedzieć: Tak.

Oczywiście dla wyższych uczelni zagadnienia naukowe są najistotniej- sze, ale przecież nie odrywając się od ziemi wiemy, że stoja przed nami jeszcze trudne sprawy dydaktyczno- wychowawcze i prace usługowe. Wszystko to (nauka, dydaktyka i u- sługi) potrzebuje odpowiedniej bazy, a więc w ślad idą sprawy inwesty- cyjne, lokalowe, zaopatrzeniowe i wiele innych (zdrowotne). I znowu dla ich rozwiązania jako konieczność wyłania się współpraca wszystkich zainteresowanych w naszym środo- wisku, tzn. oprócz szkół, przedsta- wicieli poszczególnych resortów (z Ra- d Narodowych Miejskiej i Wojewódz- kiej). Czyli na zapytanie: koordyna- cja? Wielokrotnie odpowiedź: Tak, koniecznie tak.

Myśląc i mówiąc o współpracy i

koordynacji wysiłków wszystkich uczelni i instytucji naukowych na- szego środowiska, nie mogę po- wstrzymać się od zastrzeżeń. Są one natury formalnej. Boję się i wyda- je mi się, że to jest przyczyna, dla której dotąd nie poczyniono prób zrealizowania takiej koordynacji, aby taka próba nie utonęła w powo- dzi papierów i bezpłodnych konfe- rencji. Komisja Koordynująca może być na szczeblu Wydziału Nauki i Oświaty KW PZPR — powinna być elementem sprawnym, działającym szybko i energicznie, posiadającym dość duże uprawnienia w sensie po- dejmowania decyzji, czyli z wyż- szych uczelni winni w niej zasiadać jeśli nie sami rektorzy, to przedsta- wiciele posiadający ich pełnomocnio- two.

Zadania i uprawnienia takiej ko- misji koordynacyjnej mogłoby okre- ślić szersze zebranie przedstawicieli szkół i ich administracji łącznie z przedstawicielami Rad Narodowych Miejskiej i Wojewódzkiej.

Prof. dr med. Józef Jankowiak

Dyrektor Instytutu Balneoklimatycznego

Coś się już robi

Zniemałym zainteresowa- niem przeczytałem w „Gło- sie Tygodnia” — dodatku „Głosu Wielkopolskiego” z niedzieli — 12. 8. 1962 r. — artykuł red. Mieczysława Skąpskiego pt.: „Koordinacja? — Tak!”. Duże brawa dla autora za poruszenie tak ważnego zagadnienia oraz za wysunięte sugestie realiza- cji praktycznej swoich rozważań. Cenną jest idea koordynacji wsze- lkich poczynić i prac, tak teoretycz- nych jak i praktycznych, podjęta na terenie naszego miasta dla większe- go jego rozwoju i znaczenia w kraju.

Jako dyrektor Instytutu Balneo- klimatycznego — placówki nauko- wej — zajmującej się naukową stro- ną lecznictwa uzdrowiskowego, za- gadnieniami dotyczącymi balneo- logii, fizykoterapii i bioklimatologii (to jest wpływu różnych elementów klimatu i pogody na organizm czło- wieka zdrowego i chorego) pragnę omówić krótko sprawy już istnieją- cej koordynacji w naszej specjalno- ści, w skali zarówno lokalnej jak i krajowej.

Koordynacja nazwać już można współpracę między poszczególnymi instytutami resortowymi (Instytut

Balneoklimatyczny z Instytutem Reumatologii i Instytutem Medycyny Pracy Wsi). — Uzgadnianie na przy- kład tematyki planów rocznych i perspektywicznych, wspólne uczest- nienie w radach naukowych in- stytutów o pokrewnym profilu (Dy- rektor Instytutu Balneoklimatyczne- go członkiem Rady Naukowej Insty- tutu Reumatologii i w swoim czasie dyrektor Instytutu Reumatologii — członkiem Rady Naukowej Instytutu Balneoklimatycznego).

Przykładem na istniejącą koordy- nację w pracy naukowej jest między innymi współdziałanie Instytutu Balneoklimatycznego z ośrodkami naukowo-leczniczymi, to jest nauko- wo-badawczymi placówkami po- szczególnych klinik Akademii Med- ycznych, czynnymi w większych uzdrowiskach. Współpracę podjęto w celu podniesienia poziomu wiedzy z zakresu balneologii lekarzy zatrud- nionych w uzdrowiskach. Polega ona na koordynowaniu przez Instytut prowadzonych w ośrodkach prac na- ukowo-badawczych, a także na po- mocy udzielanej przez Instytut w za- kresie zaopatrywania ośrodków w aparaturę naukowo-badawczą. (Do tego rodzaju współpracy zachęca właśnie w artykule swoim red. Skąpski.)

Od wielu już lat realizuje nasz In- stytut współpracę w zakresie nie- której tematyki z I Kliniką Chorób Wewnętrznych A. M. (kierownik prof. Kwaśniewski), Zakładem Che- mii Nieorganicznej (kierownik prof. Szmytówna), Katedrą Fizjologii (kie- rownik prof. Czarnecki) i innymi placówkami poznańskiej Akademii Medycznej. Jako przykład tej współ- pracy, która nawiązuje do koncepcji red. Skąpskiego odnośnie współdzia- łania instytutów naukowych z uczel- niami, przytoczę następujący fakt: Od dłuższego już czasu Instytut Ba- neoklimatyczny organizuje kursy do- skonaleń lekarzy uzdrowiskowych z całego kraju, zapraszając jako wy- kładowców samodzielnych pracow- ników nauki Akademii Medycznych, podczas gdy nasi pracownicy nauko- wi biorą udział w wykładach na kursach organizowanych przez nie- które kliniki A. M.

Kontakty naukowe istnieją rów- nież między Instytutem Balneokli- matycznym i Politechniką Poznań- ską.

Koordynowanie pewnych prac do- konuje się między Instytutem Ba- neoklimatycznym a „Miastoprojek-

tem”. Wspólnym mianownikiem są tu zagadnienia z zakresu budownie- twa i architektury szpitalnej i sa- natoryjno-uzdrowiskowej.

Moim zdaniem istnieją jednak in- ne jeszcze możliwości koordynacji. Mam tu na myśli koordynację pracy realizowanej z inicjatywą instytucji naukowej przy współudziale lokal- nych placówek usługowych. Pozwolę sobie przedstawić tutaj akcję zaini- cjowaną przez nasz Instytut, mającą na celu korzyści jak najbardziej uty- litarne dla miasta Poznania. Posta- nowiliśmy opracować klimat lokalny naszego miasta. Jest to zagadnienie niezwykle ważne; jego nasświetlenie ułatwi właściwe zaplanowanie punk- tów rekreacyjnych i ośrodków wy- poczynkowych, a także właściwą lo- kalizację przyszłych terenów prze- myślowych. Kwestie te tym bar- dziej wymagają rozwiązania, ponie- waż Poznań sąsiaduje bezpośrednio z Parkiem Narodowym. Jest to pra- ca długofalowa, zaplanowana na la- ta 1961—1965. Można tu podkreślić, że akcja prowadzona będzie poza bieżącymi planami naukowymi.

Ponieważ zagadnienie jest złożone i wymaga wszechstronnego ujęcia — w odpowiedzi na apel Instytutu Ba- neoklimatycznego — współpracę za- deklarowali przedstawiciele Zaka- du Geografii Uniwersytetu Adama Mickiewicza, Państwowego In- stytutu Hydrologiczno-Meteorolo- gicznego (PIHM), Miejskiej Stacji San.-Epid., Zakładu Biologii Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, Miejskiej Pracowni Urbanistycznej i Miejskiej Komisji Planowania Go- spodarczego — Oddziału Poznańskie- go Pol. Tow. Meteorolog. i Hydrolog. Wyniki opracowania mieć będą du- ży aspekt społeczny, gdyż pracow- nicy nauki wielu instytucji zespola- swe wysiłki nie tylko dla osiągnięć naukowych, ale także praktyczno- społecznych, dla powiązania nauki z życiem i potrzebami miasta.

Miło mi wspomnieć, że wyżej o- mawiana akcja spotkała się z pe- nym zrozumieniem Władz Miejskich z Przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Poznania — ob. Ku- siakiem na czele.

Przez moje krótkie omówienie spraw dot. koordynacji, chciałem do- wieść, że przecież „coś się już tu robi” i że koncepcje zawarte w ar- tykule red. Skąpskiego spotykają się z już realnymi faktami w zakresie tak gorąco propagowanej przez au- tora artykułu koordynacji.

SZALENIE I NOWOCZEŚNIE

Takie sobie rozważania

Lato już mija swą fazę szczytową i natura po okresie flirów, załotów i zaślubin przechodzi w stadium brzemienności, aby przez całą jesień obdarzać człowieka owocami wiosennych uniesień. A człowiek? Człowiek zbiera sobie te owoce, a że matka przyroda uprzywilejowała go zwolnieniem od obowiązujących terminów rui i tarła, więc może się kochać cały boży rok.

Przed wszystkim oczywiście młodzież. Chociaż w oparciu o możliwości, jakie daje zdobyc światła pracy — FWP, również i starszemu pokoleniu marzą się jakieś uległe nimfy w szmaragdowych odmetach Bałtyku lub morskie Tryfony, czyli opaleni na brąz ratownicy plażowi o stalowych ramionach.

I chciałoby się wypłynąć na wzburzone fale miłosnej przygody, znów być jak ongi wolnym statkiem, trampem, a nie wciąż tym liniowcem, co to musi się trzymać regularnej linii i zawsze zawijać do tego samego macierzystego portu. Ale zazwyczaj okazuje się, że z dawnego motorowca zrobiła się już przeciekająca krypa, że tylko na żyletki przelopić, bo do żegluga nadaje się jak ten Waza, co go po trzystu latach pod Sztokholmem z wody wyciągnęli.

Co innego młodzież. Jej nie trapią zawilości nawigacyjne, nikt nie kłopotuje się przed czasem, o kompas, leg i chronometr, ani o ewentualne cargo, które może się przecieć w czasie takiego rejsu zawsze przypływać. Wiele takich dwuosobowych załóg można spotkać na ulicach i w parkach, jak sobie dryfują niesione bryzą uczuć i prądami pożądań, spokojne, że nie grozi im rozbitcie o rafy ludzkiej pruderii. Pruderia bowiem, z którą młodzież poprzednich pokoleń tak walczyła — i z tak mizernymi skutkami — dzisiaj niewiele jakoś miejsca zajmuje w naszej obyczajowości. Niektórzy przypisują to nowoczesności, chociaż wśród wielu narodów Europy, obdarzonych bardziej gorącym temperamentem, taka nowoczesność liczy sobie kilkadziesiąt, jeżeli nie kilka tysięcy lat.

Jak się zwał, tak się zwał, dość że zakochani nie muszą się w miejscach publicznych kłopotować w objawianiu swoich uczuć, a i ci, którzy ten przyjemny koklusz mają za sobą, doznają na ten widok miłego ciepła koło serca.

Natomiast godną najwyższego współczucia jest ta część młodzieży, której — za przykładem biurokratów i pewnych twórców — wydaje się, że forma zastąpić może treść. Widuje się często, jak niedoroslątko spaceruje z wiotkim pączuszką dziewczęcości, obejmując ramieniem jej szyję, i prawie zwiśa na ukochanej niby zmurszały tabelek. A dziewczęta? Wprawdzie się uginają, ale dzielnie znosi ten niedomyślny ciężar — i oboje tępo patrzą przed siebie, i kroczą jak skazańcy na szubienicę. Tylko czasem zerkają na boczki, czy ktokolwiek ich zauważył. Bo bardzo chcą, żeby wszyscy myśleli, że oni się kochają tak szalenie i nowoczesnie. Żalotny widok.

Albo inny styl: Idą takie dwie półmartwe, sztywne kukły. Twarze kamienne, ręce im zwisają jak pończochy z trócinami — z wyjątkiem jednej. Bo ta jedna kawaler dzierży damę swojego serca, tę królową swojej miłości, za jej łabędzi karczek.

To nic, że ręka spocona, że może niedawno nią trzymał, powiedzmy, poręcz framwaju, albo liczył pieniądze, albo jeszcze co... Nie, on musi pokazać, że on jest ten pan i władca, ten twardy, zimny drań, Riffi czy bodaj krajowy Paramonow. On jest ten brutalny dziki samiec w dzinsach ciasno opiętych na zadeczkę, niby to egzystenjalny jaskiniowiec.

I trzyma ją za kark ten zdobywca i pogromca, i prowadzi przez miasto — jakby zdechłego kota wynosił na śmietnik. Oczywiście po to, żeby wszyscy myśleli, że oni się tak wdychowo kochają i są tak szalowo nowocześni. No i bohaterzy. Są bowiem święcie przekonani, że rzucą wyzwanie zgłębieniu świata konwenansów i hipokryzji.

Jest w tym zgrywaniu się coś arcyprzesmutnego. Nie tylko dlatego, że świat już dość dawno przestał zwracać uwagę na takie demonstracje. Ale przede wszystkim dlatego, że to miłość na pokaz, afekt udawany, który naprawdę nie istnieje. Ci biedni młodzi niby to kochankowie, oszukują samych siebie i ośmieszają się przed innymi.

Tak, jak nie ostudzisz herbaty samym tylko mieszanem, tak i żadne gesty i demonstracje nie wyjdą naturalnie, jeżeli ich nie dyktuje miłość, jeżeli wynikają z chęci pozowania na nowoczesność, inaczej mówiąc, z mody. Bo to moda nakazuje, że koniecznie trzeba być czymś chłopcem albo czymś babką, tak jak chodzić na szpilkach albo z parasolem pod pachą.

A że kiedy serce śpi, to i rozum drzemie, więc koniecznie ciężkie, zdrowe byki muszą się wieszać na dziewczęcych, koniecznie babki muszą się dać wodzić za kark, żeby to wyglądało na miłość. Bo taki jest ich nowoczesny konwenans. Ani lepszy ani gorszy od tego starego, a w każdym razie tak samo głupi i tak samo uciążliwy. I tak samo ignorowany, kiedy nagle dwoje młodych odkryje, że cały świat od miliardów lat rozwijał się tylko po to, żeby oni teraz się właśnie spotkali.

BETA

Jedyną troską Kowalskiego było nowe mieszkanie. Czekał na nie bardzo długo. Wreszcie pewnego dnia dostrzegł wśród grona szczęśliwców umieszczonych na liście „kwaterunkowych” przydział — swoje nazwisko. Fakt ten — jak nietrudno się domyślić — był powodem wielkiego święta rodzinnego i uroczych marzeń o przyszłości. Świat wydawał się piękniejszy. Któregoś jednakowoż wieczoru, pełnego interesujących z żoną dyskusji, jak to będzie dobrze w dwóch pokojach, padło pytanie: a jak urządzimy nasze nowe mieszkanko?

Kowalski obruszył się na taką interpelację i nie ukrywając pewności siebie odparł, że po prostu kupi kanapkę, nową lampę, jakiś dywanik... Gdy jednak zaczął myśleć o szczegółach umebrowania, nie umiał sobie wyobrazić, jak ma ono wyglądać, co trzeba kupić, jak ustawić... I tu zaczęła się tragedia. Uroczy obraz nowego mieszkanka przesłoniła dręcząca wątpliwość: jakie powinno być nowoczesne mieszkanie?

Natarczywe pytanie nie odstępowało Kowalskiego ani na chwilę. Miał przecież prawo mieszkać wreszcie po ludzku. Był człowiekiem niezamożnym, ale na tyle nowoczesnym, że nie chciał żyć jak jego rodzice.

Niestety, wiedział tylko czego nie chce. I choć oglądał w tygodnikach wiele obrazków pod obiecującym tytułem: „architekt radzi” nie widział — w rzeczywistości nigdy nowoczesnie urządzonej izby i w żaden sposób nie mógł sięgnąć wyobraźnią w świat modnych wnętrz. Głębił się długo, nic nie wymyślił i w końcu od nowa zagrał swoje nowe mieszkanie według najbardziej klasycznych wzorów mieszczańskiej tradycji.

Wielu jest Kowalskich, którzy wyuczają nowoczesność, chcą żyć praktycznie, według nowych standardów, ale po prostu nie potrafią. Bo i skąd mają umieć, skąd czerpać wzory, kto ma im dać przykład? Architekci-teoretycy z poradników gospodarskich, nierzadko wystawy architektury wnętrz prezentujące zwykłe przesadne w formie i niedostępne wzory? Sytuacja bez wyjścia?

Zbigniew Mika

Jak mieszkać?

Chyba nie. Kowalskim można bowiem pomóc.

Nie proponuję niczego nowego — bo i problem nienowoty, tyle że aktualny, a chce tylko sięgnąć po mądrość sąsiadów. W Bratysławie i Pradze już przed trzema laty tamtejsze centrale handlu meblami urządziły w nowych osiedlach wzorcowe mieszkania. Ot, rezerwowano jedno z typowych mieszkań, meblowano go według średnich, ale nowoczesnych standardów. Każdy mógł przyjść, zobaczyć dokładnie, jak jest urządzone i nawet od razu zamówić u przebywającego tu urzędnika, potrzebne mu meble. W Moskwie, w osiedlu

ratorium Meblarskie oraz Przedsiębiorstwo Projektowo-Konstrukcyjne dla tej dziedziny. W Poznaniu nadto ma swą siedzibę Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych z wydziałem architektury wnętrz. W Poznaniu mieszka i działa plejada doskonałych (czołówka krajowa) projektantów mebli i wnętrz.

I chyba naprawdę niewiele trzeba, by Kowalskich wybawić z kłopotu. Nikt bowiem nie uwierzy w to, że są jakieś przeszkody na drodze do rozmów przedstawicieli Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Meblami, Wydziałów Kultury, Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego, Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych itp., które by pozwoliły na zorganizowanie jakiejś wspólnej akcji. Nie sądzę tak-

Sprawy do załatwienia

Haraszowomniwniki oglądałem podobne mieszkanki-wzorce. Zwiedzających było wielu.

To chyba nasuwa dość prosty wniosek. Czy nie można by pomyśleć o podobnych „wzorcach” i w naszym województwie? Jest dla kogo. Tytuł nowego izby w Poznaniu, Koninie, Turku czy Kole obejmują władanie tysiące Kowalskich. Wiedza o estetyce i nowoczesności znacznej części z nich tkwi gdzieś w secesji. W nowoczesnych mieszkaniach socjalistycznego budownictwa panoszą się więc to, na co stać ludzkie gusta, to czego jednak nie chcemy, co nawet usiłujemy zwalczać.

Obojętność wobec takiego stanu rzeczy jest w naszym mieście i województwie szczególnie niezrozumiała, a zarazem kompromitująca. To przecież poznawskie jest najsilniejszym ośrodkiem polskiego przemysłu meblowego. Tu swoją siedzibę ma Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego, któremu podlegają m. in. duże fabryki w Poznaniu, Swarzędzu, Szamotułach, Wolsztynie, Wronkach, Rogoźnie, Jarocinie; tu działa Labo-

że, by nie można było wyłączyć jednego mieszkania na przykład na Grunwaldzie (po pół roku gdzie indziej, zawsze przecież pewna rezerwa lokalowa jest niezajęta) i urządzić w nim wspomnianą „wzorcową”. Od biedy można by zrobić to samo w zaimprovizowanym mieszkaniu w obszernym pawilonie handlowym. Najważniejsze, aby nie była to wymyślna dekoracja a zgromadzone w niej meble i uzupełniające drobniaki, odpowiadały kieszeniom średniosytuowanych.

Gdyby zresztą chodziło tylko o do-razną pomoc Kowalskim można by cały problem sprowadzić do reklamy handlowej i kopii nie kruszyć. Są to jednak sprawy znacznie istotniejsze bo wkraczające w sferę zagadnień kultury obywateli i ich nowoczesnego wychowania. Wszak chcemy ich wyzwolić spod uroków jeńienia na rykowisku, sypani z ohydny oleodrukami, wysokich polskich i makatek. Chcemy, ale niewiele w tym kierunku robimy; a potem dziwimy się, że Kowalscy są tacy zafani.

Janusz Przybysz

Wizyta o zmroku

Gość nudziarz przybył o zmroku.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał niedomyślnie, patrząc na biurko zawalone papierami.

— Nie — skłamałem, też patrząc na biurko.

— Pracujesz — domyślił się on.

— Tak.

W tym miejscu powinien odejść. Nie zrobił tego jednak. Usiadł i rozgawędził się.

On też pracuje, on też nie może wyleźć z pracy, chwili

nie ma dla siebie. Ale tak nie można. Człowiek powinien znaleźć czas na przyjemności, rozrywki i przyjemne rozmowy ze znajomymi. On też był kiedyś taki głupi i nie dalej jak w ubiegłym tygodniu siedział kołkiem dni i noce.

— I co? — wtrącił.

— Nic. Skończyłem. Oddałem, teraz czekam na wypłatę i mam wieczór wolny.

Spoglądałem na znajomego i kalkulowałem, czy lepiej go

ndusić, czy otruć. Uduśnienie raczej odpadało. Nie mam

wprawy, mógłby rzucić, nie lubię tego. Również otrucie nie było na dzisiejszy wieczór.

Przepracowany, nie zaopatrzylem się w truciizny. Nie było wyjścia. Musiałem czekać.

Czekałem do północy. O północy gość wstał i podszedł do biblioteki. Tam stały moje nowe książki.

— Czytałeś? — zapytał, pokazując.

Pracuję.

— W takim razie, opowiem ci.

I opowiedział.

Kiedy skończył była pierwsza. Gościowi kleiły się oczy.

— Pójdę spać — zdecydował się, ściskając mi dłoń.

— Nie — odpowiedziałem.

Potem zmylił drzwi, wszedł tyłem do łazienki i z promiennym uśmiechem drzwi zamknął. Przywaliłem drzwi szafą.

Władze uwolniły go następnego dnia, zwabione krzykami. W miesiąc później odbyła się rozprawa.

— To jest niedopuszczalne — wołał on do wysokiego sądu — aby jakiś pierwszy lepszy obywatel pozbawiał wolności spokojnych i porządných obywateli a zwłaszcza gości!

Właściwie miał rację.

Gości powinni pozbawiać wolności sądy powszechne.



Terror obyczajowy

W najświeższej, **POLITYCE** Józef Grabowicz publikuje artykuł pt. **Śluby chłopskie**. Autor podaje przykłady presji wywieranej przez klerykalne środowiska (zwłaszcza wiejskie) na ludzi, którzy nie posiadają ślubu kościelnego:

„...W Komitecie Powiatowym PZPR w Augustowie opowiedziano mi o burzliwych perypetiach młodego małżeństwa. Młody człowiek, nota bene członek partii, wstępując w związki małżeńskie przeciwstawił się naciskowi rodziny i nie spełnił kościelnych ceremoniałów. Rodzina żony wypędziła z domu młode małżeństwo. Kiedy zamieszkała u dalszej rodziny, fanatyczna teściowa zorganizowała rodzinną procesję do młodych małżonków. Nocą pod ich oknami odprawiono litanie i modły o nawrócenie”.

Ta sprawa zakończyła się przydzieleniem mieszkania prześladowanym małżonkom. Odwołano ich w ten sposób od fanatyzowanej rodziny. Ale nie to jest przecież najważniejsze. Ważny jest problem stosowania terroru obyczajowego. Przykładów można znaleźć dużo. Prześladowani są na ogół bezradni, bezbronni. Gdzie tu tolerancja?

Luksus czy konieczność?

Dwukrotnie z rzędu omawialiśmy w poprzednich przeglądach prasy artykuły poświęcone motoryzacji (**POLITYKA**). Przepowiadaliśmy wówczas, że temat ten zrobi prasową karierę.

I rzeczywiście, ostatnie **ŻYCIE GOSPODARSTWA** przynosi artykuł dyskusyjny **Grzegorz Pisarskiego pt. Motoryzacja — luksus czy konieczność**. Autor odpowiada najpierw na dwa pytania: czy zwiększenie produkcji samochodów osobowych jest bardzo kosztowne i czy nakłady finansowe na motoryzację prowadzą do ograniczenia tempa wzrostu spożycia gorzej sytuowanych grup ludności? Odpowiedź na oba pytania jest korzystna dla zwolenników motoryzacji.

Mało tego, autor drogą analizy budżetu rodzinnego dochodzi do wniosku, że:

„Motoryzacja daje (...) narzędzie ograniczenia różnic w spożyciu ludności i wygospodarowania środków na wzrost spożycia gorzej sytuowanych grup (...) Możliwość szerokiego wykorzystania atutu współpracy międzynarodowej w dziedzinie produkcji samochodów osobowych sprawiają natomiast, że możemy to uczynić stosunkowo niewielkim nakładem sił i środków. Niezbędna wydaje się przeto zasadnicza rewizja naszej polityki motoryzacyjnej, i to już w bieżącym 5-leciu”.

Dyskusja więc rozpoczęła. Jaki będzie jej ostateczny efekt? Czy miarodajne czynniki wezmą te głosy pod uwagę? Na rozstrzygnięcie będziemy musieli jeszcze trochę poczekać.

Cechy narodowe Polaków

Pasjonująca lektura jest opublikowana na łamach **NOWEJ KULTURY** dyskusja o ocenie września 1939. Redakcja zatytułowała rzecz: **Zaczęło się we wrześniu...** Wypowiadają się: Lesław M. Bartelski, Stanisław Grochowiak, Jerzy Putrament, Melchior Wańkowicz, Zbigniew Żalski i Stanisław Zieliński. Mówią o: szarżach ułanów, cechach narodowych, pacyfizmie i postawie młodzieży.

„Zaczęliśmy spotkanie — czytamy we wstępie — od skierowania uwagi obecnym na fakt, że po tylu latach od momentu wybuchu i zakończenia drugiej wojny światowej, dyskusje na jej temat stają się coraz gorętsze (...) Nie ma w Polsce pi-

sarza, który by nie angażował się w artystycznej ocenie września 1939. Kampania wrześniowa i upadek państwa, to nie tylko scenaria mechanizmu działań wojenno-frontowych i politycznych, doniosłość tych problemów przerasta jej militarną warstwę — dotyka bowiem w istocie rzeczy podstawowych, zagadnień naszego istnienia, naszego miejsca w czasie i historii”.

Brak miejsca z zalem każe zrezygnować z przytoczenia szerszych fragmentów. Wszystkie wypowiedzi są bardzo ciekawe. Oto jeden z wyjątków wystąpienia Putramenta:

„Każdy żołnierz musi wiedzieć o co walczy. Jest przerażająca rzecz, że mimo klęski wrześniowej, mogło dojść do Powstania Warszawskiego, którym kierowały te same siły polityczne, odpowiedzialne za Wrzesień. W praktyce powstało było w sensie spraw ludzkich i materialnych większą klęską niż wrzesień. Stało się to dlatego, że naród nasz nie potrafił dać słusznej politycznie analizy kampanii wrześniowej. I dlatego także, my, komuniści, nie mieliśmy możliwości podjęcia tej krytyki i analizy na większą skalę”.

Trudno nie zgodzić się z takim poglądem. Trudno też nie przyznać racji Bartelskiemu, który w końcowej wypowiedzi stwierdza, że czas już najwyższy zamknąć dyskusję na temat kampanii wrześniowej i klęski — działami wymierzającymi historię ostateczną sprawiedliwość.

Pierwszy krok reformy szkolnej

W **PRZEGŁADZIE KULTURALNYM** pisze na ten temat Bogdan Gotowski w artykule pt. **Wbrew tradycji**. Czytamy:

„Rok szkolny 1962/63 jest pierwszym rokiem realizacji reformy szkolnej. Przynajmniej w teorii. W praktyce należy rok ten nazwać raczej okresem wstępnym. Co prawda, trzy pierwsze klasy otrzymają od 3 września nowe programy, ale w tych właśnie klasach zmiany programowe są zgoła minimalne. Z tego tytułu nie zgłaszam jednak żadnych pretensji. Im więcej czasu poświęci się na przygotowanie nowych programów dla wyższych klas szkoły podstawowej i dla liceów, tym

lepiej. Oczywiście, pod warunkiem, że termin wprowadzenia ośmiolatkich zostanie dotrzymany. Ale ten rok ma — moim zdaniem — rozstrzygające znaczenie dla całej reformy z innego względu: teraz właśnie decydują się losy kadrowego i materialnego zapiecha reformy”.

Jest to bodaj trudniejsze niż sprawa ułożenia właściwego programu. Najlepszy bowiem program nic nie pomoże, jeżeli realizować go będą słabi nauczyciele lub jeżeli tych nauczycieli w ogóle zabraknie. A w tym roku szkolnym w całym kraju deficyt kad. nauczycielskich wynosi 2 tysiące osób. Wreszcie szkoły. Budujemy ich bardzo dużo, ale stale panuje jeszcze w budynkach szkolnych ciasnota. Pomyślna realizacja zreformowanego programu też w pewnym stopniu zależy od dostatecznej ilości izb lekcyjnych.

Francja wobec tragedii września

TYGODNIK DEMOKRATYCZNY, zamieścił pierwszy odcinek artykułu pt. **Francja wobec tragedii września 1939 roku**, napisanego na podstawie książki ministra Bonnet. W redakcyjnym wstępie czytamy:

„W świetle relacji francuskiego ministra (spraw zagranicznych — dop. Lektora) rysuje się wyraziste nierożnienie podstaw, na których opierał rząd Polski przedwrześniowej swą wiarę w pomoc Francji. Gdy u nas hitlerowskie hordy, zamieniając miasta i wsie w ruiny, mordując i rabując, wdzierały się coraz dalej w głąb kraju, wśród zachodnich sojuszników — którzy jak wiemy nigdy nie okazali Polsce realnej pomocy — odbywało się uzgadnianie stanowisk i trwały przetargi. Gdy Polska walczyła samotnie, Francja i Anglia, nie chcąc drażnić Hitlera, składały protesty, a Bonnet ulegał zwodniczym nadziejom uratowania pokoju na drodze nowych ustępstw wobec Hitlera”.

Artykuł omawia kulisy dyplomatycznych gier, toczonych jeszcze po przekroczeniu przez wojska Hitlera granicy Polski. Smutna to dla nas lektura, ale jakże pouczająca...

LEKTOR